

WSPOMNIENIA ABSOLWENTÓW

Niemoralne obuwie

– Twoja matura wisi na włosku – zagroził mi dyrektor B., który spostrzegł mnie w szkolnym korytarzu. Nawet nie musiałam pytać dlaczego, bo wystarczyło na mnie popatrzeć, aby z ust pedagoga wydobyć podobną groźbę. Ubrana byłam bowiem w czerwony płaszcz. Ta czerwień była ostra, prowokacyjna i absolutnie niedozwolona.

W czasach, gdy zdawaliśmy maturę, jedynym panującym kolorem w szkole był granat, co najwyżej złamany bielą kołnierzyka. Musieliśmy też nosić granatowe bądź czarne fartuchy. Fartuchy były obrzydliwe. Szyło się je z błyszczącej bądź matowej satyny, a krojem przypominały sukienki marszczone najczęściej w talii gumką. Do tego przypinało się albo naszywało białe kołnierzyki. Nienawidziłam granatu i jest to barwa, której nie używam do dziś. Jako młoda dziewczyna dość szybko odkryłam, że to nie mój kolor. Byłam ciemną szatynką, o ciemnych oczach i dość śniadej karnacji. A tu granatowy musiał być fartuch, beret i na dodatek płaszcz.

Zbuntowałyśmy się też wszystkie, jak pamiętam, w X klasie i umówiłyśmy się, że na doroczną i jedyną zabawę karnawałową w naszej szkole przyjdziemy kolorowo ubrane. Dziewczęta wyglądały prześlicznie, bawiłyśmy się znakomicie, ale następnego dnia czekała reprimenda nie tylko ze strony wychowawcy, ale i dyrekcji. Nie pamiętam już wychowawczych kar, jakie nam wtedy zaaplikowano.

Zresztą grono pedagogiczne gorszyło się wtedy dość łatwo. Kazano na przykład przyjść do szkoły mojej matce, bo nosiłam – zdaniem jednej z nauczycielek – „niemoralne obuwie”. A chodziłam wtedy do szkoły w tzw. kłapkach, czyli butach niezasłaniających pięt. Jako osoba dorosła na sprawę fartuchów patrzę już inaczej, ale rzeczywiście na tę jedyną w roku zabawę powinno zezwolić się ubrać dziewczętom tak, jak zechcą. Tym bardziej, że w tamtych latach, gdy sukienki nie były kupowane w butikach, ale szyte przez zdolne matki, babcie czy same dziewczyny, efekt zależał nie od ilości wydanych pieniędzy, ale pomyślności i talentów „krawcowej”.

Czerwony płaszcz był świadomym, wyzwaniem rzuconym szkole i rzeczywiście działał na pedagogów jak przysłowiowa płachta na byka. Dziś wiem, że był to nasz podświadomy bunt przeciwko socrealistycznej szarżyźnie, poprawności i uniformizacji życia.

Chodziłam do klasy łacińskiej i to nie był mój świadomy wybór. Na początku roku szkolnego, kiedy okazało się, że do klasy angielskiej jest zbyt dużo chętnych, bezceremonialnie, jak pionki, poprzysuwano kilku uczniów do klasy łacińskiej. W tym moją przyjaciółkę Zulę. Po paru dniach rozłąki, kiedy okazało się, że mój wychowawca profesor E. jest niesympatycznym człowiekiem, na własne żądanie przenieśliśmy się do klasy łacińskiej. Ten krok, jak mniemam, zaważył na dalszym moim życiu...

W klasie łacińskiej licznie przeważały dziewczęta, a w miarę dalszej nauki męskie szeregi topniały szybko niczym śnieg w marcu. Zmargoryzowani przez dziewczyny chłopcy siedzieli cicho i skromnie. Gospodarzem klasy była zawsze dziewczyna, najlepszym matematykiem – dziewczyna, najlepsze wypracowania pisała – dziewczyna.

Nasi chłopcy tak dalece nie liczyli się w żadnej klasyfikacji, że tzw. Sympatii, jak się wtedy mówiło, szukałyśmy albo w klasie angielskiej albo poza naszą szkołą.

I może właśnie dlatego w naszej klasie zawiązała się wspólna żeńska paczka i zadzierzgnęły się silne przyjaźnie które przetrwały do dziś. W dorosłe życie weszłyśmy z przeświadczeniem, że dziewczyna (kobieta) może wszystko, że wszystkim sobie poradzi i generalnie jest mądrzejsza od chłopaka. Tego osądu nie zmienił nawet fakt, że 3-krotnym Olimpijczykiem został... chłopak z sąsiedniej klasy.

Kobiety są lepsze! To twierdzenie zapisało się na trwale gdzieś w tyle mojej głowy i pozostało tam do dziś. I tak przez łacinę stałam się...feministką..

* * *

Tak już jest, że najbardziej pamięta się nauczycieli tych srogich i tych najmielszych.

Najsurowszy w moich czasach był wspomniany prof. E.

Uczył chemii. Nie dosyć, że przedmiot ten obok matematyki budził dreszcz zgrozy w przyszłych humanistach to jeszcze zawiłości związków zwłaszcza organicznych pogłębiał swoim ironicznym stosunkiem do uczniów.

Schemat jego lekcji też przebiegał wg indywidualnie wypracowanego przez niego wzoru, który zaczynał się od otwarcia dziennika i sakramentalnych słów: „Najprzód przyjdzie do nas znany chemik”... i tu rzucał w klasową przestrzeń przekręcone dowcipy czyjeś nazwisko .np. „Senioro Leonardo Wernero”

To już deprymowało nie licząc kpiącego profesorskiego spojrzenia rzucanego spod złotej oprawki jego binokli. Jeżeli nieszczęśnik zbliżał się zbyt wolno do gilotyny, czyli tablicy profesor poganiał: „Spiesz się spiesz bo inni już składają błagalnie ręce, aby ich pytać”.

Gdy błady ze strachu Leon do tej tablicy dotarł to usłyszał, że jego specjalnością jest np. kwas siarkowy. Jeżeli Leon napisał, że uzyskał

kwas działając wodą na metal to dowiadywał się, że dokonał niezwykłego odkrycia wynajdując kwas siekierowy, a jeżeli coś pomieszał to napisał wzór na potop. Gdy mu się udało padała zgryźliwa uwaga: – „Koncepcja ciasna ale własna”.

Na ogół jednak Leonowi nie udawało się i z ust profesora wydobywała się formułka: – „Nie bujaj mas, żegnaj nas” a do dziennika wjeżdżała reakcja $N + D = ND$ po czym profesor stwierdzał z zadowoleniem: – „Część radosna zakończona”.

Na przeciwnym biegunie stał profesor T. pieszczotliwie zwany przez nas „Wacusiem”.

Uczył geografii tzn. usiłował nas uczyć. Nie wiem skąd się to brało, ale już po kilku lekcjach uczniowie wyczuli, że można u niego, jak to się mówiło za moich czasów, „grandzić”. Na lekcjach geografii można było zatem nie tylko nie uważać, ale spać, jeść, odrabiać inne lekcje, rozmawiać i podpowiadać. W starszych klasach z nudów urządzaliśmy wojny przy pomocy papierowych kulek wydmuchiwanych przez rurki długopisów i kleksowaliśmy się wzajemnie z wiecznych piór. Ja najczęściej beczelnie siadałam tyłem do profesora i katedry i gadałam z koleżanką często nawet nie mając pojęcia jaki jest tytuł lekcji.

No cóż widocznie już tak w życiu mam, że nic nie dostaję za darmo i muszę swoje odpracować.

Zdecydowałam się po maturze studiować prawo. Egzamin wstępny musiałam zdawać z historii i właśnie geografii, a zatem jako dodatkowy przedmiot, który zdawałam na maturze wybrałam geografię.

I teraz w przeciągu bardzo krótkiego czasu musiałam wtłoczyć w głowę to, czego nawet nie słuchałam na lekcjach. Zaczęło się obłędne „kucie”, a na ustny egzamin maturalny stawiałam się po nieprzespanej nocy.

Po innych przedmiotach przyszła kolej na geografię. Wyciągnęłam karteczkę i na widok jednego z pytań, które nie bardzo mi się podobało wykrzywiłam się.

„Wacus” to spostrzegł. I wtedy ten starszy, szczupły i dobrotliwy pan, którego lekcje tak ostentacyjnie lekceważyłam absolutnie mnie zaskoczył:

– Nie podoba ci się? – zapytał cicho. – To weź inną – podpowiedział.

Uniosłam ze zdziwienia brwi i rozejrzałam się dookoła. Akurat na sali zapanowało zamieszanie, bo jedna z uczennic w ataku hysterii wybiegła podczas egzaminu z sali.

Wyciągnęłam inną kartkę. Nabrałam oddechu... i zaczęłam recytować. Z geografii dostałam piątkę, a potem pomyślnie zdałam egzamin na Wydział Prawa.

Na zakończenie roku szkolnego największy bukiet kwiatów zaniołam „Wacusiowi”.

Liceum to nie tylko nauka, nauczyciele, koleżanki, to również teren życia towarzyskiego a zwłaszcza... uczuciowego.

Dojrzywałam późno, później nie tylko niż współczesne dziewczęta, ale nawet moje koleżanki. Wyczytałam gdzieś, że u pływaków tak się dzieje, bo organizmy mają wymoczone w zimnej wodzie, a ja właśnie trenowałam tę dyscyplinę sportu..

Byłam już w X klasie, gdy w naszej szkole pojawił się nowy chłopak, który przyszedł do nas z innej szkoły.

Stwierdziłam, że jest bardzo przystojny: brunet, z zielonymi oczami, a kiedy okazało się, że jest bardzo uzdolniony muzycznie – pięknie grał na fortepianie i ksylofonie stając się żelaznym punktem popisów uczniowskich na różnych akademiach „ku czci” postanowiłam, że on będzie mój.

Dziś z rozrzewnieniem wspominam te nasze wzajemne, nieśmiałe podchody, pierwsze tańce na szkolnej zabawie, cukierki rzucane mi ze sceny, zabawę we flirt towarzyski w pociągu na szkolnej wycieczce itp. głupstwa.

W każdym bądź razie na początku XI klasy pojechaliśmy razem na kolejną wycieczkę, z której już wróciliśmy jako para całująca się gorąco a ukradkowo w szkolnym autobusie.

Szkolna love trwała do czasu, kiedy to okazało się, że mój amant z powodu błędów ortograficznych w wypracowaniu z języka polskiego nie został dopuszczony do matury.

W tej sytuacji musiałam błyskawicznie szukać jakiegoś innego partnera na bal maturalny, co wówczas, obok sukienki, było arcyważną sprawą.

Moją pierwszą miłość, co tu dużo ukrywać, porzuciłam ze względów ambicjonalnych. Za rok on oczywiście maturę zdał, potem wyjechał na studia, potem ja wyjechałam z Torunia, do którego on po latach powrócił.

Na żadnym szkolnym spotkaniu towarzyskim, ani ogólnym zjeździe jednak nie pojawił się. Ani na tym w 15 lat po maturze ani na tym w 1995 roku chociaż wypatrywałam go skwapliwie.

Dowiedziałam się, że rok temu zmarł na serce.

I wtedy poczułam wyrzuty sumienia.

Młode dziewczęta marzące o księciu na białym koniu często bywają nie tylko pryncypialne, ale i okrutne.

*
* *
*

Dobrze jednak wspominam szkołę i szkolny czas. Pomimo, że rzeczywistość wtedy nie była ani bogata ani wesoła. Nastąpił wprawdzie już wtedy czas gomułkowskiej odwilży (chodziłam do liceum w latach 1956 – 60), religia powróciła do szkół, ale do głów wtłaczano nam oprócz wiedzy również brednie. Mimo wszystko, jednak był to szczęśliwy okres mojego życia.

I cieszę się zawsze na każde spotkanie z przyjaciółmi z czasów mojej młodości.

*Renata Lipińska-Kondratowicz (z domu Mielke),
absolwentka z roku 1960*

**Jeżeli się nie uczycie, wagarujecie, to tak, jakbyście
wyrwali mi serce**

1 września 1961r. uczniowie rozpoczęli naukę w nowym budynku. Dyrektor Boszko na zakończenie uroczystego przemówienia stwierdził: „nasza szkoła będzie zakładem wzorcowym”. I tak jak poprzednio obowiązywały stroje skromne, granatowe fartuszki i kapcie. Dyrektor sprawdzał osobiście, czy przyszyte są tarcze. Niestosowny, kolorowy czy ekstrawagancki strój powodował, że uczeń czy uczennica nie byli wpuszczani do szkoły. Musieli pójść do domu, przebrać się i powrócić na zajęcia. Dyrektor szył sobie zawsze buty na zamówienie, aby przy chodzie skrzypiały. Gdy szedł swoim dostojnym krokiem, wszyscy słyszeli, że się zbliża. W ten sposób klasa była przygotowana na jego wejście. Przekazywał nam fakty i informacje z historii Polski od Biskupina, Mieszka I, Chrobrego do rozbiorów Polski. Wychodził z założenia, że w „jego zakładzie”, jak nazywał szkołę, nauczyciel ma zawsze rację (z pewnymi wyjątkami). Mimo pryncypialności i pozornej surowości był człowiekiem, nauczycielem i wychowawcą, który dbał o dobro ucznia i nigdy go nie skrzywdził. Mówił zawsze tubalnym głosem do uczniów: „jeżeli nie uczycie się, wagarujecie, to tak, jakbyście wyrwali mi serce”. Uczniowie nazwali dyrektora sympatycznie – Ryszard Lwie Serce.

Jednym z najdłużej nas uczących był prof. Edward Echaust. Obracał się w świecie chemii i prosił nas, byśmy nie mylili jej z alchemią. Była to nietuzinkowa postać, człowiek o nienagannych, jeszcze przedwojennych manierach. Nieprzeciętny dowcip i umiejętność przekazywania wiedzy powodowały, że uczniowie lubili go i szanowali. Z przymrużeniem oka traktował otaczającą rzeczywistość. Był zapalonym myśliwym, ale –jak twierdził- mało strzelał, lubił spacerować z psem po lesie, gdzie najlepiej wypoczywał. Jego pogoda ducha udzielała się otoczeniu. Nigdy nie był zły czy niedysponowany, zawsze gotowy nieść pomoc każdemu, kto by jej potrzebował. W czasie okupacji aresztowany przez gestapo, przebywał na terenie Fortu VII, cudem uniknął rozstrzelania. Został zesłany do obozu koncentracyjnego w Dachau, przeszedł piekło obozowe. Mimo osobistych przeżyć potrafił zachować optymizm i służyć zawsze dobrą radą. Odpytywanie uczniów nazywał „sezonem wędkarskim”, powiedzonka typu „popachni jak to węża” przeszły do historii.

Starał się nie teoretyzować, ale pokazać praktyczny sposób wykorzystywania praw chemicznych. „Chemia w życiu” – to hasło przyświecało na lekcjach.

Zapamiętałem ustny egzamin maturalny jednego z kolegów. Wchodziło się wówczas do sali, gdzie siedziały komisje z kilku przedmiotów. Wyjść można było dopiero po złożeniu wszystkich egzaminów. Kolega nasz był dobrym uczniem i zdał wszystkie przedmioty, pozostała mu tylko chemia. Był chory i zażywał leki. Gdy wylosował pytania z chemii, nagle wszystko – jak twierdził – zapomniał. Wtedy podszedł profesor Echaust i sprawdził, że pytania dotyczyły kwasu węglowego. „Podejdź do odpowiedzi, mów po cichu swój życiorys, a co chwilę głośno powtarzaj kwas węglowy” – poradził. I tak właśnie przebiegał egzamin. Po jego zakończeniu profesor spytał przewodniczącego, jaką ocenę wystawić za tak mierną odpowiedź. – Myślę, że dostateczny – oświadczył przewodniczący – bo coś tam mówił o kwasie węglowym. Po egzaminie kolega podziękował profesorowi, a ten powiedział: „kwas węglowy, młodzieńcze, jest do wypicia w dużych ilościach dla samobójców i desperatów, bo po jego wypiciu nabierają chęci do życia, kwas węglowy to nic innego jak popularna woda sodowa”

Profesor mieszkał w pięknej kamienicy gotyckiej na Starym Rynku. Zgodnie ze zwyczajem w Boże Ciało stroił okno. Zauważył to ówczesny sekretarz partii ds. propagandy, któremu podlegało szkolnictwo ponadpodstawowe. Gdy wytypowano profesora do odznaczenia, sekretarz stwierdził, że prędzej wyrosną mu włosy na dłoni niż je dostanie. Oburzenie środowiska było bardzo duże, ale sekretarz to sekretarz, nie było silnych na takie draństwo. Jednak w ministerstwie w Warszawie na wysokim stanowisku pracował absolwent szkoły, uczeń prof. Echausta i spowodował, że udekorowano go wysokim odznaczeniem. Gdy profesor mijał się z sekretarzem, pokazał mu wierzch dłoni z gestem pytającym, gdzie te włosy. Taki był profesor. Na jego pogrzeb przybyło wielu uczniów, by pożegnać i oddać hołd wielkiemu człowiekowi, wychowawcy licznych pokoleń. Dla młodych powinien być wzorem życzliwego nauczyciela.

*Włodzimierz Adamczyk,
absolwent z roku 1964*

Czerwono mi... niespokojnie

Nastał rok szkolny 1962/63. Od 1 września, jako świeżo upieczony ośmioklasista (tj. uczeń I klasy licealnej; przyp. dla młodszych Kolegów) i bezczelny prymus niedawnych olimpiad matematycznych, chodziłem z wysoko zadartym nosem i... niczego się nie bałem!... (No, może poza początkiem roku szkolnego – i kolejnych – kiedy publicznie należało

podać do dziennika swoje personalia, a podczas tej procedury gwałtownie załamywała mi się dykcja, przy wymawianiu rocznika urodzenia, odróżniającego mnie od reszty klasy; „in minus” ma się rozumieć, co w owych czasach dyskwalifikowało mnie, jako małodłata... Mój Boże! „A to se ne wrati!”)

Nadeszła jesień. Na dworze panował chłód oraz...Gnom, czyli Gomuła, w środku zaś dyrektor Boszko, zwany przez nas – pieszczotliwie – Bykiem. Nasz „zakład” (tj. IV LO) dopiero co przeprowadził się do nowego, przestronnego gmachu przy ul. Warszawskiej, ale poluzowanie przestrzeni nie mogło – ma się rozumieć! – poluzować... dyscypliny, tak umiłowanej przez Byka. On osobiście, lub wyznaczeni Profesorowie, „palco-leptycznie” sprawdzali więc przyszyte tarczy, przy wejściu rannym (od ran, zadawanych przez... szpilki, zamaskowane fałszywym ścięciem) na teren „zakładu”. Ponadto obowiązywały granatowe mundurki i „cieliste rajstopy”; z tym, że te ostatnie dotyczyły dziewcząt tylko..? (w każdym razie nam, facetom, rajstop nie sprawdzano!). Nawiasem mówiąc – niedawno, wspólnie z obecną Panią Dyrektorem, próbowaliśmy dociec, co mógł mieć na myśli jej poprzednik, nazywając szkołę wyłącznie „zakładem”? Czy chodziło mu o „zakład produkcyjny”? A może – „zakład zamknięty”? Tę tajemnicę zabrał – śp. Dyrektor Boszko – do grobu...



Na dworze było więc już słotko (od słowa: ślota, ma się rozumieć; bo słotko było raczej średnio!) i...błotko, które naniesiono też do „zakładu”. Z tym, że w środku czerwieniało..? Z miejskiego Zarządu ZMS (Związek Młodzieży Socjalistycznej; przyp. dla młodszych) dotarli do nas specjaliści od marketingu (bez zarządzania, na razie, choć z Zarządu) i – w towarzystwie kolegów ze starszych klas – jęli nas przekonywać do korekty image’u, za pomocą garderobianego akcentu, pod postacią czerwonego krawata, który czyni – ponoć – cuda..! Rozjaśnia umysł, pogłębia wiedzę, a w konsekwencji – gwarantuje przyjęcie na studia. Krótko mówiąc – z głębia nawet, czyni „intelektualistę”... Porażony – jak wszyscy – tą kuszącą perspektywą oświatową, wróciłem do domu i w głębokiej tajemnicy – gdy wszyscy udali się już na spoczynek – buchnąłem Mamie czerwona apaszkę, z której wykroilem słusznych rozmiarów krawat (by odnośna wiedza była równie...słuszna!). Stałem przed lustrem i jąłem go przymierzać na różne sposoby; próbowałem nawet powiesić się na nim... Nic z tego! – W żadnej pozycji nie było mi w nim do twarzy! Z tych względów (inne tu pomijam) zmuszony byłem – jako osoba o skłonnościach narcystycznych, dbająca o wygląd – pozostać przy tradycyjnych sposobach przyswajania wiedzy, rezygnując z nowoczesnych skrótów... Ku mojemu zdumieniu – i dodajmy: zawiści także, z uwagi na „wyścig szczurów”... do wiedzy i studiów – przytłaczająca większość klasy skorygowała swój wizerunek i... było im „do twarzy”. Dodajmy, że w owych

czasach było nas prawie 40 osób, w tym 10 facetów zaledwie, z czego tylko kilku osobom zmiana wizerunku się nie powiodła...

Wśród nich był pewien chłopski ("kułacki"?) syn, dojeżdżający spod Torunia, odznaczający się zgryzem, ozdobionym okazałym złotym zębem, błyskającym się...w oczy. Być może ów ząb, przykuwający naszą uwagę, był powodem podobnego – mniejszościowego – wyboru Tomka; wszak jaskrawy krawat mógł zmniejszyć nasze skupienie na złocie..?! Tak czy owak, w owych dniach dramatycznych wyborów natury estetycznej (vide: „Potęga smaku” Zb. Herberta), Tomek wysłał do mnie – podczas lekcji – lakoniczne zgoła memorandum, następującej treści: „Bogdan, znajdujemy się w otoczeniu wrogów, komunistów... itp.,” mrugając przy tym do mnie – porozumiewawczo – zębem... Jego nota, zapisana na ćwiartce kartki z zeszytu, zaległa pod ławką...

W owym czasie mieścił się, w naszej budzie, jeszcze jeden „zakład” (im. S. Żeromskiego), którego słuchaczami były osoby bardzo dojrzałe, pracujące – dajmy na to – w tzw. organach (np. MO i SB), pogłębiające popołudniami głęboką już – skądinąd – wiedzę. Któryś z owych „organów” znalazł przesyłkę i – nie zważając na tajemnicę korespondencji – zapoznał się z jej treścią. Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie. Najpierw „ustalono” Tomka, ten zaś „ustalił” adresata, czyli mnie. Któregoś dnia wkroczył do klasy słusznej postury woźny Koralewski, zapraszając mnie na pogawędkę do dyrektorskiego gabinetu. Tam oczekiwało na mnie dwóch smutnych panów, zdecydowanych podzielić się ze mną nieprzyjemną wiedzą, że... „i tak już wszystko wiedzą!” Wyrazili przy tym – melancholijnie – przekonanie, że gdybym z własnej woli podał nazwę i cel wiadomej, wywrotowej organizacji młodzieżowej, a także: nazwiska, kontakty, miejsca spotkań i – ewentualnie – przechowywania broni, wówczas ta moja szczerość, zdecydowanie poprawiłaby położenie, w którym się znalazłem. No cóż, zawsze uważałem się za osobę nie pozbawioną wyobraźni, ale tak od razu, na poczekaniu i tylu rzeczy naraz, nie byłem w stanie wymyślić, co dałem do zrozumienia rozmówcom. Wobec tego panowie zaproponowali mi spotkanie za czas jakiś; tym razem w Komendzie Powiatowej MO przy ul. Bydgoskiej.

Moi partnerzy najwyraźniej nie odznaczali się usposobieniem artystycznym, więc obce im były takie rzeczy, jak wena, czy męki tworzenia. Dlatego terminy kolejnych dwóch spotkań były zbyt nieodległe w czasie i zakończyły się fiaskiem...fabularnym. Jednakowoż, zrąb mojej opowieści zaczął się już rysować w głowie. Była więc i organizacja polityczna i jej zbrojne ramię, przy czym czerpałem tu obficie – by zaspokoić oczekiwania i gusta moich wydawców – z wypróbowanych wzorców historycznych, a mianowicie: PPR i osławionej Gwardii Ludowej, której wszak także nikt nie widział na oczy..?! Wzbogacał się wciąż nasz arsenał także; zacząłem nawet kombinować, jak przerobić ojcowską Syrenkę na...wóz pancerny! Wszystko to, jednak, nie było jeszcze dostatecznie poukładane, a byle czego nie chciałem proponować

wydawcom. Od dziecka wszak byłem perfekcjonistą i moja satysfakcja artystyczna stała zawsze na pierwszym miejscu...!

Przez dwa spotkania, przygotowana specjalna teczką wydawnicza (charakterystyczny skoroszyt), z przypiętym do niej – spinaczem – corpus delicti (owa ćwiartka papieru), pękała z... braku treści. Wydawcy poszli mi więc na rękę i – abym nie tracił czasu na dojazdy – wyznaczili kolejne spotkanie „pod nosem”, w komisariacie przy ul. Grudziądzkiej. Niestety, tę tak pięknie rozwijającą się „katastrofę” życiową, przerwał mi mój papa, wykazując się także brakiem wyrobienia artystycznego. Nie pamiętam już skąd dowiedział się o moich spotkaniach literackich; być może sam wypaplałem? Dość, że udał się na kolejne spotkanie wraz ze mną i to – niestety – nie w roli mojego agenta! Wzorował się raczej na leśniczym, ze znanego onegdaj dowcipu o leśniczówce, obleganej – na przemian – przez partyzantów i Niemców, a bronionej – także na przemian – przez tych samych, co odbywało się przy użyciu coraz cięższej artylerii. Po kilku cyklach leśniczy wpadł w furję, jednych i drugich wyrzucając „na zbitą mordę”!... Mój Ojciec zaś nie wpuścił mnie do pokoju wydawców, a przez drzwi usłyszałem -z jego ust pierwszy i ostatni raz w życiu – tzw. grube słowa, po których wypadł czerwony (a jednak !) od wzburzenia i – chwyciwszy mnie za kołnierz – wyprowadził z owej oficyny wydawniczej. W ten oto sposób, po raz pierwszy w życiu, nie udało mi się zostać artystą...

Pamiętajmy wszakże o tym, że liczyłem sobie wówczas 13 wiosen, zaledwie... (Tę uwagę adresuję do tych, którzy do dziś utrzymują, że barbarzyński stalinizm skończył się w 1956 r...?!)

* * *

Ta „inicjacja opozycyjna” nie całkiem poszła na marne. Kilka lat później, w Marcu 1968 r. byłem jednym z organizatorów oraz szefem strajku okupacyjnego na Politechnice Warszawskiej; największego w całej historii PRL, gdy chodzi o środowiska akademickie (co opisano już obszernie w literaturze historycznej). Potem były „odosobnienia” i poszło jak... z górki! Z takiej górki, że do dzisiaj jeszcze, nie całkiem jeszcze stoczyłem się na dno...? W przeciwieństwie do wielu spośród tych, którzy onegdaj skorzystali z oferty marketingowej, do dzisiaj będąc jej beneficjentami.

*Bogdan Czajkowski,
absolwent z 1966 r.*

Nasza klasa nie była ani wylęgarnią matematyków, ani nawet studentów matematyki. Rozumiem, że jej zasadniczym celem było wychowanie i uczenie pewnej grupy młodzieży przez matematykę

Mój wybór IV Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki w Toruniu na miejsce czteroletniej nauki nie był przypadkowy. Przyciągnęła mnie perspektywa utworzenia tam tzw. uniwersyteckiej klasy matematycznej.

Lubiłam matematykę, otrzymywałam z niej zawsze dobre oceny; w VIII klasie szkoły podstawowej chodziłam na zajęcia międzyszkolnego kółka matematycznego prowadzonego przez profesora matematyki na UMK Leona Jeśmanowicza i bardzo mi się tam podobało.

Po 35 latach wybór ten oceniam jako trafny. Przez cztery lata przeżyłam fantastyczną przygodę intelektualną, jaką przede wszystkim było uczestniczenie w lekcjach matematyki prowadzonych przez prof. Jeśmanowicza oraz wówczas docenta dr hab. Lecha Dubikajtisa. Lekcje te dały mi solidne podstawy do zrozumienia zrębów matematyki, do studiów matematycznych oraz do pracy. Tego bogactwa byłam świadoma w trakcie tworzenia się „naszego własnego” gmachu matematyki, ale teraz, z perspektywy wieloletniego doświadczenia zawodowego, na podstawie notatek zeszytowych z tamtego czasu, narysowanych protokołami, doceniam je jeszcze bardziej.

Nasza klasa nie była ani wylęgarnią matematyków, ani nawet studentów matematyki. Rozumiem, że jej zasadniczym celem było wychowanie i uczenie pewnej grupy młodzieży przez matematykę, danie bardzo rzetelnych podstaw matematycznych dla szeroko pojętego rozwoju intelektualnego.

Matematyka tworzyła się na naszych oczach. Materiał był tak dobierany, aby nie było w nim żadnych przemilczeń i pominięć dowodów. Jeśli z pewnych względów rezygnowało się z pełnego dowodzenia twierdzeń, zaopatrywane były takie miejsca w szczególnie bogaty komentarz.

Profesor Jeśmanowicz, „Jeśman”, niezwykle poważnie i rzetelnie podchodził do pracy z naszą klasą. Ten eksperyment dydaktyczny był prowadzony w Toruniu z Jego inicjatywy, na wzór szkoły przy Uniwersytecie w Moskwie, gdzie Profesor gościł w latach sześćdziesiątych. Tak się też ciekawie składało, że wielu uczniów naszej klasy byli to „duchowi wnukowie” Profesora – dzieci studentów Profesora z pierwszych roczników istnienia UMK.

Profesor, mający ogromne doświadczenie w prowadzeniu wykładów uniwersyteckich, potrafił w niezwykle prosty sposób przedstawiać głębokie idee matematyki.

Był postacią barwną. Kiedy my rozpoczynaliśmy naukę w liceum, miał 54 lata, białą rozwichrzoną czuprynę, wielki bagaż rozmaitych doświadczeń życiowych i zakładał niekiedy skarpetki od dwóch różnych

par. Mówił ze śpiewnym wileńskim akcentem. Znał się nie tylko na matematyce, ale był obyty i czytany w wielu innych dziedzinach: literaturze, historii, teatrze... Nikt z nas by nigdy nie wpadł na pomysł, by Profesora „zagiąć”. To raczej Profesor nas nieustannie stymulował do rozwoju. Nie da się ukryć, że różnie z nami bywało, że wielokrotnie nie spełnialiśmy pokładanych w nas chociaż minimalistycznych oczekiwań. Profesor Jeśmanowicz to był prawdziwy Profesor!

Docent Lech Dubikajtis miał z nami geometrię. Uczył nas odpowiedzialności za użycie słów, znaków czy ich kolejności, dobieraliśmy symbole i w pełnym formalizmie dowodziliśmy twierdzenia, które wydawały się nam oczywiste.

Geometria była w jego wydaniu sformalizowana i pełna pułapek, ale dla mnie przez to bardzo ciekawa.

Z „Dubikajtisem” wiąże się w mojej pamięci następująca historia.

W drodze do szkoły w wypadku zginął nasz kolega z klasy śp. Bolek Dorniak. Długo byliśmy przybici tym faktem, miejsce Bolka było przeobrażliwie puste. Pogrzeb poprzedzony mszą świętą w kościele Najświętszej Marii Panny zaplanowany był na godziny przedpołudniowe. Nie było szans, byśmy mogli zwolnić się z lekcji i uczestniczyć we mszy świętej żałobnej. W owych czasach zastraszenia baliśmy się nawet wystąpić z taką propozycją. Nie było też do pomyślenia, aby klasa mogła się zjednoczyć w modlitwie przy trumnie zmarłego kolegi. Mieliśmy przyjąć na geometrię. W ostatniej chwili dwugodzinna lekcja została odwołana „z ważnych przyczyn osobistych” tak, aby nie można było zorganizować zastępstwa. Tą „ważną przyczyną” było oczywiście uczestnictwo we mszy świętej żałobnej. Był wraz z większością uczniów także i nasz pan od geometrii.

Historii w klasie I uczył nas podręcznik. Co do linijki przekazywał nam go mgr Ryszard Boszko, ówczesny dyrektor szkoły, o której mówił: „Czwarty zakład”. Nazywaliśmy go: „Kalyf”. Był wówczas w wieku przedemerytalnym. Miał białe włosy i grube powieki. Nosił jasny garnitur. Widzę go w myślach z dziennikiem pod pachą, gryzącego oprawkę swoich okularów.

Niezwykle istotne dla niego wydawało się paradowanie na pochodzie pierwszomajowym najprzystojniejszych uczniów szkoły w charakterze Kosynierów Kościuszkowskich. Chłopcy przez wiele godzin prób maszerowali po boisku szkolnym. Wcale interesująco wyglądali. Pochody pierwszomajowe były obowiązkowe i należało w nich uczestniczyć w stosownym stroju. Dla dziewcząt były to granatowe żakiety i spódniczki oraz białe bluzki.

W I klasie na zbiórkę przed pochodem przysłałam w granatowej spódniczce, biało-granatowym swetrze oraz granatowym płaszczu. Byłam wówczas przeziębiona i zbyt chłodno mi było w samym mundurku. Dyrektor zwrócił mi uwagę na niewłaściwy strój. Odparłam, że nie miałam innego, w którym byłoby mi wystarczająco ciepło. Mam mieć mun-

durek, a jeśli nie to „na zieloną trawkę”. W ustach dyrektora znaczyło to, że mam się pożegnać ze szkołą. Przestraszona na dobre, zapytałam, co mam zrobić. Pan Boszko polecił mi „obciąć płaszcz i zrobić z niego żakiet”. Ja z kolei odpowiedziałam, że nie mam przecież ze sobą nożyczek. „Jest ich wystarczająco dużo w pracowni ZP-T”. Poszłam tam i z płaszcza zrobiłam wymagany żakiet.

Drugim nauczycielem historii, w kl. II–IV, przedstawianej totalnie z jedynej słusznej perspektywy był mgr Jerzy Wyczyński, „Wyczyn”, postawny mężczyzna w średnim wieku, z bujną czupryną. Był postrachem dużej części uczniów. Uczył nas także w IV klasie przedmiotu o nazwie: Propedeutyka nauki o społeczeństwie. Miał w szkole grono uczniów – satelitów, był bowiem opiekunem szkolnego koła Związku Młodzieży Socjalistycznej (ZMS). Organizował z nimi akademie „ku-czci” oraz był opiekunem szkolnego zespołu wokalnego „Katarzynki”.

Mimo, że do ZMS nie należałam, przypominam sobie wielką aferę w szkole związaną z wyborami do tej organizacji, Otóż, kolega z naszej klasy, Andrzej Laryś, był vice przewodniczącym szkolnego Koła ZMS.

Wobec ustępującego przewodniczącego ze starszej klasy, miał duże szanse, aby przejąć tę funkcję. W dniu wyborów Andrzej i czterech innych uczniów z naszej klasy przyszli ogoleni na zero. W tamtych czasach taką fryzurę nosili wyłącznie aresztanci, skazani i rekruci. W szkole zrobił się duży szum i... Andrzej nie tylko, że nie został przewodniczącym, to i przestał być vice przewodniczącym.

W czasach naszej nauki w szkole do wielu absurdów, związanych przede wszystkim z systemem politycznym, w jakim przyszło nam wzrastać, dołączyć można Grupy Wychowania Socjalistycznego. W każdej klasie wybierało się piętnaścioro uczniów, którzy mieli najlepsze oceny, liczyło się średnie poziomo i pionowo i na podstawie tych obliczeń ogłaszane były wyniki współzawodnictwa pomiędzy klasami.

Pasje artystyczne realizowaliśmy w kabarecie uczniowskim pod nazwą „Dżdżownica”. Jego założycielką była Hanna Byra z „b” klasy. W tajniki sceny, na przykładzie „Teatryku Zielona Gęś” K.I. Gałczyńskiego wprowadził nas aktor toruńskiego teatru im. Wilama Horzycy pan Tadeusz Pelc. Mile wspominam rozśpiewane próby, kolorową scenografię Anny Tomczyk z klasy plastycznej, przedstawienia w szkolnej świetlicy, ale i także np. w szpitalu wojskowym. Przez pewien czas porozumiewaliśmy się tekstami z naszego kabaretu. W sali gimnastycznej odbywały się koncerty wybitnych muzyków, którzy w zapoconą atmosferę wnosili bogactwo światowego dziedzictwa dźwięków.

Była studniówka – w szkolnej świetlicy, w białych bluzkach i ciemnych spódnicach oraz bal maturalny w kasynie wojskowym. Stroje były eleganckie, ale nie przypominam sobie wszechobecnego pędu do stworzenia z tej okazji targu golizny.

Jeśli myślę o czasach szkolnych, nie mogę pominąć niebieskich oczu, które mnie wtedy fascynowały. Człowiek, ich właściciel, kolega, poszedł w dal, żyje własnym życiem, ale mi na życie, na najtrudniejsze chwile pozostały w sercu niebieskie oczy promieniujące blaskiem młodości, która w życiu darowana jest tylko raz.

*Bogumiła Klemp-Dyczek,
1968–1972 w IV LO*

**Żadne wielkie wspomnienia to nie będą,
ale muszę przyznać, że od czasu do czasu nachodzi mnie
kombatancki nastrój...**

Trzech nauczycieli pamiętam jako cieszących się dużym autorytetem.

Pierwszy autorytet to nasza wychowawczyni, prof. Jolanta Krawczyk. W zupełnie niepojęty sposób była w stanie zapanować nad stadem rozwydrzonych indywidualności. Gdy poszła na urlop macierzyński kolejne wychowawczynie zupełnie sobie z nami nie radziły, zmieniały się jak w jakimś kalejdoskopie – żadnej nie pamiętam...

Drugi autorytet to prof. Juliusz Domański. Był bardzo dobrotliwy, przed każdą lekcją można było uprzedzić, że tragiczny spłot okoliczności uniemożliwił przygotowanie się. Jedną z koleżanek robiła to literalnie przed każdą lekcją. Profesor Domański dopiero przed końcem roku zdecydował się zasugerować, by jednak przed następnym spotkaniem nie było żadnych epidemii ani wyłączeń prądu, bo choć raz w roku chciałby ją zapytać...

Trzeci niekwestionowany autorytet, prof. Daniela Zaremba, mieściła się na przeciwnym biegunie, a grozę panującą na lekcjach chemii można było porównać chyba tylko z wizytami na dyrektorskim dywaniku. Tym większym przywilejem była możliwość wyrwania się do tak zwanego kantorka, w którym przygotowywaliśmy się do zawodów chemicznych. Po pierwszych sukcesach przenieśliśmy się do kantorka na stałe. Niestety, od czasu do czasu dobiegały stamtąd zbyt hałaśliwe odgłosy radosnej zabawy i profesor Zaremba interweniowała:

- Nic tu nie robicie, tylko kawały sobie opowiadacie!
- Ależ Pani Profesor, właśnie robimy miareczkowanie redoksymetryczne.

Na to wpada Andrzej Wojtczak, najprzystojniejszy z nas wszystkich i już od drzwi woła:

- A znacie taki kawał...- reszta uwieźła mu w gardle.

Innym razem, siedząc w kantorku, sprawdzaliśmy, czy dżdżownice potrafią pływać. Jacek Stankowski hodował je jako zadanie na Olim-

piadę Biologiczną. Niestety, wpuszczone do wielkiej zlewki z wodą poszły na dno i Jacek, dmuchając przez pipetę próbował je ratować. Wtedy weszła profesor Zaremba :

– Jacek, co ty pijesz?

Zobaczyła i wyszła bez słowa. Groza wisiała w powietrzu przez tydzień.

*Jan Barczyński,
absolwent z 1976 roku*

**Zastanawiam się, co sprawia, że szkołę pamiętałam jako grono
wymagających nauczycieli, a spotkałam jako grupę ludzi
życzliwych zarówno dla mnie, jak i dla uczniów**

Wspomnienia?

Dopiero niedawno, gdy poproszono mnie o napisanie paru słów wspomnień związanych z moją nauką w IV Liceum, zdałam sobie sprawę, że to dokładnie 20 lat po tym, jak zdałam w tej szkole maturę sama stanęłam naprzeciwko uczniów w roli nauczyciela.

Z obawą szłam na spotkanie z uczniami tej szkoły, o których wiem jak bardzo potrafią być wymagający, oraz z nauczycielami, z których niektórzy byli i moimi profesorami. Ta konfrontacja moich wspomnień i wrażeń z czasu, gdy sama byłam uczennicą, z teraźniejszością szkoły wypadła dla niej korzystnie. Zastanawiam się, co sprawia, że szkołę pamiętałam jako grono wymagających nauczycieli a spotkałam jako grupę ludzi życzliwych zarówno dla mnie, jak i dla uczniów.

W latach 1979–1983 byłam uczennicą klasy matematycznej, liczącej najpierw 21, potem 17 uczniów. Niezapomniane wrażenia zostawiło we mnie kilkoro nauczycieli.

Przede wszystkim profesor Tadeusz Hałat, dyrektor szkoły, nauczyciel języka polskiego. Wymagający, z subtelnym a czasem ciętym dowcipem, z ogromną cierpliwością wysłuchujący naszych nie zawsze trafnych interpretacji utworów literackich, posługujący się właśnie fragmentami tekstów dowcipnie podsumowując nasze wypowiedzi.

Nauczyciele matematyki prof. prof. Zbigniew Bobiński uczący geometrii i Mirosław Uscki wykładający analizę matematyczną, obaj z ogromną wiedzą, której ogarnąć nie wszyscy byliśmy w stanie.

Profesor Juliusz Domański, nauczyciel fizyki, nieustrudzony jej popularyzator, który wymagał od nas umiejętności rozwiązywania zadań, a któremu ja zawdzięczam swój upór w przezwyciężaniu trudności.

Mieczysław Bielski historyk, zatrudniony w szkole przez dwa lata, po okresie odsunięcia od nauczania, który tak potrafił zainteresować swoim przedmiotem, że niejednokrotnie więcej uczyliśmy się historii niż matematyki.

Pani profesor Jolanta Wiewiórska, mama naszego kolegi, nauczycielka wychowania fizycznego, która zachęcała nas do aktywnych ćwiczeń na zajęciach stawiając za wzór panią profesor Mirosławę Słocińską, twierdząc, że potrafi Ona w każdej chwili wykonać poprawnie stanie na rękach.

Wreszcie nasza wychowawczyni Pani Urszula Raths Pietrucień, wysoko stawiająca poprzeczkę nam uczniom, ważna osoba dla całej mojej klasy. Przez ostatnie 4 lata przed emeryturą moja Koleżanka.

Bez patosu twierdzę, że 4 lata w tej szkole to dobry czas; nauki, przyjaźni, ważnych wydarzeń.

*Barbara Piecychna,
wcześniej uczennica, absolwentka z 1983 roku
Barbara Postek teraz nauczyciel*

Teraz pamiętam właściwie tylko radosne szkolne chwile, nawet te stresujące i trudne momenty nabrały z czasem charakteru anegdotycznego

Właściwie powinnam zacząć tak: z IV Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Kościuszki w Toruniu związana jest duża część mojej rodzinnej historii, bo mama uczyła tu z pasją przez długi czas języka polskiego, a wraz ze starszym bratem jesteśmy tej szkoły absolwentami. Tutaj stawiałam moje pierwsze zawodowe kroki, gdy po praktykach studenckich przez rok uczyłam języka angielskiego dwie przemile pierwsze klasy: wtedy mych uczniów, teraz już kolegów absolwentów. Wówczas też przekroczyłam próg pokoju nauczycielskiego z dziennikiem pod pachą i dane było mi spojrzeć na życie z tej drugiej strony szkolnej barykady.

Ale równie dobrze mogłabym przytoczyć jakiś uroczy fragment wiersza Gałczyńskiego, który nieodrodnie kojarzy mi się z zaciętą dyskusją, jaką prowadziliśmy z niezastąpioną panią profesor Puzio na jednej z lekcji języka polskiego w klasie maturalnej. Dyskutując o polityce, zawiłościach historii, moralności i wierności sobie, przeczuliśmy się fragmentami *Zniewolonego umysłu* i wierszy Gałczyńskiego i Miłosa. Mogłabym też pokłonić się w pas pani Niezgodzie i przyznać jej rację: rzeczywiście, do fizyki należało się lepiej przykładac. Gdybym to ja wiedziała, jaką wielką miłośniczką opery jest pani profesor...

Sporo miejsca mogłabym też poświęcić szkolnym przyjaźniom. Część szkolnych znajomości skończyła się wraz z ostatnim dzwonkiem, lecz z ogromną większością kolegów i koleżanek z klasy IVA jestem w nieustannym kontakcie. W zeszłym roku zorganizowaliśmy sobie naszą własną rocznicę dziesięciolecia matury. Ale spotykamy się nie tylko od takiego wielkiego dzwonu. Widujemy się często w większych lub mniej-

szych gronach, by razem bawić się i wspominać – jak dawniej, zmieniają się tylko tematy naszych rozmów. Nie ma już wspólnego uczenia się i opracowywania „pomocniczych taktyk klasówkowych”, organizowania wycieczek i biwaków; pojawiły się dorosłe problemy, w tym kwestie wychowywania naszych własnych dzieci. Kto wie, może będzie to kolejne pokolenie IV LO?

Z rozrzewnieniem wspominam moją działalność samorządową. Ileż ciekawych rzeczy udało nam się zorganizować: niezapomniane i zabawne panoramy, koncerty, akcje charytatywne.

Teraz pamiętam właściwie tylko radosne szkolne chwile, nawet te stresujące i trudne momenty nabrały z czasem charakteru anegdotycznego. I właśnie za te dobre wspomnienia, grono wspaniałych osób, które w czwórce i dzięki czwórce poznałam oraz wiedzę, nie tylko tą przedmiotową, chciałabym Ci Szkoło podziękować.

*Aleksandra Szudy-Sojak,
Matura 1994*

**Przed wszystkim szkoła dała mi i, co sami przyznają,
wszystkim moim kolegom osobowość**

Serdecznie pozdrawiam z Warszawy. Kto? To ja, Andrzej, ten straszny Orłowski, który w swoim czasie spędzał sen z powiek ćwierci grona pedagogicznego, który dwukrotnie bliski był wylecenia ze szkoły za delikatnie mówiąc, nazbyt swobodne podejście do obowiązków ucznia. Jednak, mimo że współpraca często szła nam jak po grudzie, jakoś z powodzeniem przeszedłem przez maturę (do dziś trudno mi w to uwierzyć), z jeszcze większym zdałem egzaminy wstępne i włądowałem w Instytucie Orientalistycznym UW na arabistycę. Nie całkiem to planowałem, ale jestem zadowolony, bardzo dobrze trafiłem. Ten list piszę po zakończeniu pierwszej sesji, czasu mam więc pod dostatkiem. (...)

Z historii, które słyszałem, powstałaby już dawno książka, gdybym miał odwagę się za to zabrać. Ale się biję, obraz polskiej szkoły mógłby być swobodnie sprzedawany w dziale „horror i thriller”. (...) Zacząłem się zastanawiać, przypominać sobie szkołę i, mimo że i ja mógłbym dorzucić swoje trzy grosze do tego zbiorowego lamentu, to jednak przeważają wspomnienia dobre, czterech lat nauki w liceum nie uważam za torturę – sporo zrobiłbym dziś inaczej, jednak cieszę się, że trafiłem do czwórki, a nie gdzie indziej. Trudno trafić lepiej.

Ostatnio w ramach studiów zajmuję się mistyką żydowską, tonę w przemądrzałych książkach, a w jednej z nich wyczytałem, że: „Każde życie jest częścią układanki. Niektórzy mają więcej kawałków. Dla nich układanka jest trudniejsza do ułożenia. Jeszcze inni, jak nam się wydaje,

rodzą się z prawie ukończoną układanką.(...) Każdy z nas niesie z sobą przynajmniej jedną, a nawet wiele części układanki innych. Kiedy dajesz swój element, który dla ciebie nie ma żadnej wartości, innemu (...) jesteś posłańcem Najwyższego”

IV LO jest pełne takich posłańców, sporo dorzucili do mojej mozaiki. Przede wszystkim szkoła dała mi i, co sami przyznają, wszystkim moim kolegom osobowość. Przytoczyły się kulki plasteliny, a wyszły prawie gotowe figurki. To dużo znaczy. To w liceum właśnie, nigdzie indziej, rodzą się w wielu zainteresowania, którym z „radością i zapałem” poświęcają przynajmniej część przyszłego życia, to tu powstają pierwsze znajomości, które, nie jak te podstawówkowe, przechodzą próbę czasu.

Ale, po co tak górnolotnie, trza po prostu! To dzięki Pani lekcjom jestem w stanie napisać ten list w miarę poprawną polszczyzną, to na Pani lekcjach znowu obudziło się zabite przez podstawówkę zainteresowanie prawdziwą literaturą, poezją – nikt nie złapie mnie już na nieznamości Herberta, Witkacego, Goethego czy Bułhakowa. (Wyba- czyłem nawet Mickiewiczowi te grafomańskie wybryki, nie ma wątpli- wości, że ten znenawidzony romantyzm zostawił ślad na wszystkich, nawet na tych, którzy się tego zapierają jak mogą, podkreślając swój kosmopolityzm, apatriotyzm i zatapiając się w liczbach zespolonych). Cóż, może nie zawsze byłem prawomyślny, ale przecież nie o to chyba chodziło – często podkreślałam w rozmowach o szkole, że miałem [polo- nistkę, która lubiła samodzielność myślenia. (...) Zresztą nie tylko to, wielu innym przedmiotom, a raczej nauczycielom, których nie będę wymieniał po nazwisku, powinienem być bardzo wdzięczny. Chociaż, dlaczego nie? Dlaczego pomijać ważnych ludzi: pan Bobiński, panie: Chmarzyńska, Niezgoda, Kwiecińska, Łatkowska, Cichoń, Gmerek, pan Czyżewski, ksiądz Talkowski... Pewnie i tak kogoś pomiąłem...

*Z listu Andrzeja Orłowskiego,
absolwenta z roku 1997,
do wychowawczyni i polonistki Jolanty Krawczyk*

CHWILE PEWNEGO ŻYCIA

Teksty literackie uczniów i absolwentów IV LO w Toruniu

WOJCIECH SOBECKI

(ur. 1960) poeta, autor licznych tomików wierszy, m.in.

Ananke (1990), *Trzydzieści srebrników* (1997), *Makijaże i maski* (2005)

Podczas deszczu ludzie tracą makijaże

w słońcu ludzie zasłaniają oczy
czarnymi okularami trudno
przez taką zaporę rozszyfrować
fałsz lub nawet cień jednej obłudy
trudno upolować błysk podstępny
na wietrze ludzie zakrywają się
szalem lub kołnierzem trudno wtedy
odczytać ich zamiary do tego
ręce schowane w kieszeniach mogą
być uzbrojone w kamienie lub nóż
tylko podczas deszczu ludzie tracą
makijaże i maski najwyżej
łzy mogą roztropnie zagubić się
między nieświadomymi kroplami
niepostrzeżenie umknąć uwadze

Brzytwa

jeśli będziesz kroczyć bez brzytwy
sprzeciwu w krtani jeśli
zapomnisz wciągnąć powietrze i
kamizelkę kuloodporną na
grzbiet jeśli
zadrżysz
oni to wykorzystają z premedytacją
nawet nie zauważysz
kiedy zawładną tobą głupota z
bezduszną obnażą twoje słabości odbiorą
marzenia
jeśli będziesz kroczyć bez brzytwy
sprzeciwu w krtani jeśli
zwątpisz
inni też mają na ciebie chrapkę
wtargną znienacka
w twoją istotę nienawiść z
arogancją wypędzą
z wycackanej enklawy zgwałcą
subtelność
jeśli będziesz kroczyć bez brzytwy
sprzeciwu w krtani

PIOTR CHRYSTYNIAK

(ur. 7 marca 1969 r.), uczeń czwartej klasy IV Liceum Ogólnokształcącego
im. Tadeusza Kościuszki, zginął tragicznie na torach kolejowych
w Brzozie Toruńskiej 21 października 1987 r.

Oficer śledczy

Na początku wyglądał jak spiker TV.
obcięty biurkiem poniżej piersi.
Bardzo uprzejmie poprosił bym usiadł.
Potem żarówką spojrzał mi w oczy.
pytał i chciał bym spojrzał na niego,
a ja nie mogłem – coś ukrywałem.
Miałem przyznać lub zaprzeczyć,
jak inni co już byli tutaj.
Wreszcie wstał, zaczął mnie okręzać:
„Bądź mężczyzną” – powiedział,
„Trzeba mieć odwagę się przyznać”,
„Trzeba być uczciwym wobec kolegów”.
Zmieniał częstotliwości.
Moje struny sumienia zaczęły drgać coraz mocniej,
Aż w końcu pękły –
– i powiedziałem czego chciał.

Dedykacje

(Miłej)

Nie zgadniesz kim byłeś dla mnie
z tego krótkiego zdania,
gdy zerkniesz na nie lat kilka
po chwili naszego rozstania.
Powiemy sobie „Powodzenia”
i szybko rozstaniemy się.
Nie będzie chwili roztkliwienia,
o czym każde z nas dobrze wie.
Każde inną otworzy kłódkę,
rdzewiejącą od kilku lat,
czas zatrzaśnie za nami furtkę,
dorosły nas uwięzi świat.
Zostanie pomnie krótkie zdanie,
Gładkie jak walcowana miedź,
Gdyż nasze wzajemne poznanie
Na śmielszą nie zezwala treść.
„Miłej Koleżance „ przeczytasz,
patrzac na mą dedykację.
I nigdy chyba się nie dowiesz,
Kim byłeś dla mnie naprawdę.

STANISŁAW ADAMIAK

uczeń klasy IVF (zerówki), absolwent IV LO,
ukończył Seminarium Duchowne w Toruniu,
obecnie ksiądz Stanisław Adamiak kontynuuje studia w Rzymie

Ktoś musiał zrobić doniesienie na Adama K., bo mimo że nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu zapytany. Pani Profesor P., jego polonistka, zaczepiła go na schodach w pewnej szkole średniej nad Wisłą. Owa rzeka okaże się jeszcze niezwykle istotnym elementem naszej opowieści. I bynajmniej nie z powodu drobiu. Żółta, nie przewiązana wiatrówka powiewała za nim lekko w łagodnym porannym powietrzu. Było to w czasie, kiedy Adam K. włóczył się – o porankach jak dziecko zagubione w ciemnym lesie i nie mogące dostrzec żadnej ścieżki w parku na Bydgoskim – po Toruniu, tym zadziwiającym mieście, które każdego, kto się z nim zetknął, naznacza swoim piętnem...

Dokąd się wybierasz z tym plecakiem? Przecież zostały jeszcze dwa tygodnie zajęć? Jak zwykle na wcześniejsze wakacje?

Adam K. poczuł się odrobinę zmieszany. Nie pierwszy już raz został przyłapany na rozpoczynaniu wakacji przed czasem. Nie pierwszy już raz został przyłapany przez Panią Profesor P. Przez głowę przemknęła mu myśl, że lepiej by było w ogóle do szkoły nie przychodzić. Tak jak to uczynił Paweł D. Trzeba było od razu iść na przystań. Wodowac Niezatapialnego.

Ależ ja ... – Próbował niezdarnie ratować sytuację, bojąc się przede wszystkim tego, iż skończy za chwilę w jakiejś klasie na przymusowych zajęciach. Czuł, że nic się nie da zrobić.

– Już się nie tłumacz. Życzę miłych wakacji.

Nim zdążył podziękować, Pani Profesor P. odeszła spokojnym krokiem, z torbą przewieszoną przez ramię, w stronę pokoju nauczycielskiego. A może w stronę palarni. Stracił ją z oczu, gdyż zbiegał w dół po schodach. Spóźnieni uczniowie spieszyli po dzwonku w stronę klas, on zaś cieszył się światłem czerwcowego słońca. Nie interesowało go wtedy jeszcze to, iż świat jest jedynie chwilowym zakłóceniem w swobodnym przepływie świata. Nie był nigdy w Beskidzie Niskim, nie przeszedł jeszcze wtedy ani przez Duklę, ani przez Czarne, ani też przez Wołowiec. Interesowała go przede wszystkim rzeka. Nie byliśmy ludźmi Tajemnicy i czekaliśmy jedynie na wakacje. Wakacje nad rzeką.

* * *

Tak, nad rzeką. Tyle że ta rzeka płynęła już tam tyle lat... To ruń... To...ruń... Od setek lat w przypadku Krzywej Wieży, a od przedszkola w naszym przypadku, dzwoniło to uszach słowami onomastycznej legendy. Rzeka płynęła zresztą środkiem Toruńsko-Eberswaldzkiej Doliny, o czym można się było dowiedzieć, a jakże, w sali najbliższej tej rzeki położonej.

Ale jednak stało – lodołamacze zdobyły wiosnę i Marki nie mogły już z Zatrzybrza na piechotę do szkółki zmierzać. Poza tym do szkoły przywoził uczniów właściwie tylko jeden środek komunikacji – tramwaj.

Staś mały nie mógł przypuszczać, że go losy kiedyś wypchną do Grudziądza, skąd z cywilizowanym światem (czyli CT – *Civitas Thoruniensis*) tramwaje już jedynie (stwory zwane inaczej szynobusami) miały go łączyć. Stała się kiedyś taka bestia w Kornatowie i już nie chciała dalej jechać.

* * *

Stasia dużego też zawsze ciągnęła Rzeką. Więc w przerwach chadzał wraz z Pawłem D. na Bulwar, by obserwować bieliki, podczas gdy Paweł D. robił (m.in.) orzelki w śniegu. Zimą zawsze trafiał się jakiś bielik nad samą Czwórką (no, jeśli odpowiednio długo poczekać...), a jesienią przynajmniej jeden klucz gęsi zbożowych (*Anser fabalis*). Z rzadka, naprawdę kilka razy przeleciały jakieś stadka strusi afrykańskich, ale Staś duży nie może teraz sobie dobrze przypomnieć, czy to nie było przypadkiem kiedy indziej. Może na przykład podczas jednej z licznych wypraw łowieckich pod wodzą Cypka – znanego miłośnika kultur Native Americans (przeczytał chyba całego Karola Maya pod ławką!). Kilkoro z nas lubiło czasem pobrodzić po łąkach w błotku w ramach tzw. „naganki” (nie mylić z „nagonką” – fachowe dystynkcje przeprowadził rzeczony Cypek). Miało się to zdrowie... Mikołaj zawstydził wszystkie psy myśliwskie, zbierając trafioną kaczkę ze środka mokradła.

Skoro wszyscy Panowie sprawy damsko-męskie (męsko-damskie) próbują przemilczeć, ja Paulina, kobietą będąc i ceniąc związki międzyludzkie nad bagna, szuwały i całe ptactwo wodne i lądowe, donoszę (wplatając wątki romantyczne):

To prawda – Bestia zwana pociągiem pchała nas najchętniej w jednym kierunku, a kiedy pchała nas po raz pierwszy, nikt nawet nie przypuszczał, co z tego wyniknie. A w tym momencie nieistotne jest, kiedy dokładnie to było (i czy było naprawdę). Ważne, że gdzieś tam między regałami z książkami Karola Maya a łozowiskami z wierzbą szarą (związek *Salicetum pentandro* – *cinerea*), w których ukrywało się ptactwo, działy się rzeczy podniosłe.

Scena pierwsza: Był raz w Płużnicy taki mecz zwyczajny: trzy rakiety, dwie niewiasty, jednak piłka i on jeden. I wbrew pozorom rachunek się zgadzał. Przyjaźń i miłość banalny miały początek. Obie były wielkie. Równie banalne miały końce.

Scena druga: W tym samym czasie, kawałek dalej zacieśniała się przyjaźń polsko-amerykańska, czego później miałam być świadkiem 24 godziny na dobę przez siedem miesięcy. Maryśka! Co ja bym dała za kolejny miesiąc w jednym pokoju!

Scena trzecia: Zdarzeniom ze sceny drugiej i trzeciej kibicowałam równie mocno. W szkole średniej wszyscy byliśmy blisko. I to było

wspaniałe. Marzenia z Krainy Czarów, o których czytałam w listach będąc w Stanach w 1997 r., zdawały się spełniać w 1998 r. koło wiśniowych sadów. W Płużnicy wszystkie marzenia się spełniały. Wtedy nie były one wielkie. Co tam się dokładnie działo – nie pamiętam po tylu latach, a zresztą, nikt nie chce o tym słyszeć.

Była jeszcze scena czwarta: Dwie długowłose zrywają czereśnie, sceneria jak z bajki, pełne sady egzotyczne ptaki. Patrzy na to młody, silny przystojny. I coś z tego? Nic. Sorry Winnetou!

Jak okazało się po latach; żaden z trzech obiecujących związków nie przetrwał próby czasu i dorastania, a przyjaźnie zostały w sposób bardzo smutny zaniedbane, zaś bohaterowie tej opowieści są obecnie bardzo szczęśliwi inaczej (Znaczy, że są).

Mimo to warto o tym pamiętać.

*
* * *

W kwietniu 1995 r. otwarto pierwszą linię warszawskiego metra – od Kabat do politechniki.

To był rok 1994 r. i pierwszy dzień zimy. Było ładnie. Była pogoda. Kiedy dojechali do Warszawy, słońce świeciło jak wielki reflektor. Niektórzy zaczęli jednak już podejrzewać, że tego obiecanego metra po prostu nie ma. A oni – dzieci z prowincji skazane na co dzień na rdzewiejące tramwaje – tak pragnęli ...

Podzielili się na grupki i zaczął się etap poszukiwań przesadnych, rozpaczliwych, trochę obsesyjnych. Szukali wszędzie: na chodnikach, przejściach podziemnych i naziemnych, wśród drewnianych rusztowań, po hotelach (nie zmyślam), teatrach...

A słońce przestało już świecić – jak wielki projektor.

Trzeba było wracać.

*
* * *

Piwniczny sklepik był azylem. Niepisane prawa stanowiły o jego statusie. Grono pedagogiczne odwiedzając to miejsce, zdawało się nic nie widzieć, a przynajmniej nie identyfikować. Dzień był jak każdy. Znowu ojciec pracował nocą i nie mogłem po prostu zostać w domu. Niby jaki powód bym podał – gdyby się zapytał?

Jak zwykle w takich wypadkach, nie mając się gdzie podziać, jeździłem autobusami. Numer 22 do dworca Głównego i 27 przez całą trasę – potem improwizowałem. Lubiłem to. Lubiłem czytać w autobusie, obserwować ludzi, rozpoznawać znajome twarze bez imion. W końcu jednak zawsze mi się znudziło – wtedy schodziłem do szkolnego sklepi. W czasie lekcji było tam spokojnie. Można było bez przeszkód się zdrzemnąć. Kupiłem coś do pogryzienia. Nieco skosztowałem i przysnąłem, wtulając się w zwinięty płaszcz. Śniłem o górach. Stałem sam, na porośniętej trawą połoninie. Nie poznawałem okolicy. Wiał wiatr. Kołysząc się wraz z trawą wypełniony byłem uczuciem harmonii. Zbu-

dziłem się zdziwiony. Gdy we śnie spojrzałem pod nogi, zdawało mi się, że noszę na sobie spódnicę. Osobliwy sen – pomyślałem i sięgnąłem po jedzenie. Byłem pewien, że jeszcze coś zostało...W miejscu gdzie spodziewałem się znaleźć resztkę zakupionego wypieku pozostał tylko paperek i parę okruszków. Nerwowo rozejrzałem się w około. Byłem sam. Ktoś porwał amerykańka.

* * *

Cóż, amerykańka pewnie nie uda się odnaleźć, więc kolejna drzemka i kolejne przebliski dawnych doznań... Był koniec lata. Rozpoczął się nowy okres, poprawnie oznaczony numerem zero... Zero znajomych miejsc, zero znajomych twarzy, zero znajomych doznań...Zero... Ci ludzie tacy dziwni, krążący po betonowych placach, bulwarach i pudełkach zwanych domami, sklepami, barami (ups, to nie o tym miało być...). Jak oni mogą tak żyć i czemu tu nie ma świeżego powietrza...Następują kolejne cyferki.. człowiek do wszystkiego potrafi się przyzwyczaić (no prawie)... Jeden...proces zwany integracją, wspólne sukcesy szczepu Wikingów, jakże pomocne...Dwa ... niektórzy stają się częścią rodziny... Już nie są dziwni i niezrozumiani.. stają się bardzo bliscy ...równie mokrzy i zabłoceni... a właśnie terminologia – mała wstawka wyjaśniająca [wyraz naganka jest eufemizmem określającym działania grupy nieboraków błaskających się po polach, bagnach i lasach, wzbudzających poruszenie w przyrodzie głosem, gwizdami i podobnymi metodami oraz starających się uniknąć kul rozochoconych myśliwych. Ofiarami naganki są: dzika zwierzyna i buty pogubione w błocie. Nagonka, natomiast odbywa się często w świetle jupiterów, a jej ofiarami są osobistości, które postrzegane są jako cele do zestrzelenia z zajmowanych stołków, czy raczej foteli...]... Trzy... to już połowa (trochę nierówna)??. no tak, stąd ta brać pod lipą, przy ognisku... wesoły czas.. hej, a te kury od świeżego powietrza tak urosłyby??...Cztery...to już koniec?? podobno wydorośleliśmy, ale tak do końca, to nie dorośniemy nigdy, mam nadzieję...Teraz... Rozdzieleni przez los, rozproszeni, ale niezapomniani i nieosamotnieni...i o to chodzi... i o to chodzi.

ANNA SKIBICKA

absolwentka klasy IVa, obecnie studentka polonistyki

Wszystko powiedziane?
Na początku był chaos, więc
jeśli nie byłoby Boga, trzeba by
Go wymyślić, a
idziemy do niego nie drogą,
lecz miłością, którą sycić trzeba
słodkimi słowy, bo
są one poezją życia, które

tworzy sztuka medytując nad
 śmiercią, bowiem
 umierać musi, co ma żyć, dlatego
 prawdziwy artysta cieszy się sławą
 po śmierci, a za życia
 powołanie pisarza jest w pewnej mierze
 powołaniem do szaleństwa, a także do
 cierpienia, bez którego nie rozumie się
 szczęścia, dlatego wielkie prawdy
 są najpierw bluźnierstwem, a
 kto chce się uwolnić od prawdy
 najczęściej dusi ją słowami, bo my
 wciąż mówimy, mówimy, mówimy
 i prawdopodobnie dojdzie do tego,
 że umrzemy na zapalenie języka
 i strun głosowych, a więc
 reszta jest milczeniem.....
 moim.

MARTYNA KONIKIEWICZ

absolwentka klasy IVa, obecnie studentka socjologii

Do B*

Zabijemy dzisiaj wspólnie wszystkie "zawsze", "nigdy", "wieczne"
 I spalimy na podwórzu listy poplamione słowem,
 Które mi – tak niepotrzebnie – zawróciły kiedyś w głowie.
 I będziemy jeść i śpiewać, pleść od rzeczy trochę śmiesznie:
 „Wiesz, nie kocham cię kochanie” – „Skarbie, wiesz, ja ciebie też nie”.
 I wzniesiemy kufle z piwem czcząc rewoltę uczuciową.
 Nie będziemy wracać w przeszłość (lekarz mówił, że niezdrowo).
 Żegnaj, smutku, że nam nigdy nic nie wyszło jednocześnie.
 Miłość to wynalazł chyba albo jakiś masochista,
 albo wariat, co pominął ważny aspekt – wzajemności.
 Dzięki ci, że mną nareszcie trząść przestała podłość niska
 gdy mi, bracie, objawiłeś słodką wizję niemiłości.
 Od dziś trwam przy tobie wierna, czuła, jak przyjaciółka bliska.
 Stłumię w sobie pożądanie. I pozbędę się zazdrości.